

Jak zostać królem?

Urodziłem się w normalnej, przeciętnej rodzinie. Moje pochodzenie jest z klasy robotniczej. Przodkowie rodziny nie posiadali korzeni rodów królewskich ani książęcych. Nie sięgali za korzeniami arystokratycznych pokoleń, ponieważ byli na tyle skromni, że cieszyli się życiem takim, jakie mieli i takie im w zupełności wystarczało. Nie nosili też żadnych tytułów, ani szlacheckich, ani hrabiowskich. Moi rodzice starali się wychować mnie na prawego człowieka, w duchu uczciwości, szczerości i życzliwości dla drugiego człowieka. Z natury jestem człowiekiem wrażliwym na ludzkie nieszczęścia, cierpienia i krzywdy. W trakcie wychowywania rodzice wpajali mi, że należy ludziom pomagać, jeśli pomocy potrzebują i oczekują. Tę zasadę szczerze przyjąłem do siebie i pozostała ona we mnie do dziś. Jej efektem jest to, że poza życiem zawodowym jestem zasłużonym członkiem Ochotniczej Straży Pożarnej, niosącej bezinteresowną pomoc ludziom dotkniętym żywiołom typu: pożary, powódzie czy wypadki drogowe. Zasługi moje zostały dostrzeżone i docenione w postaci kolejnych po sobie: brązowym, srebrnym i złotym medalem „Za zasługi dla Pożarnictwa” oraz licznych wyróżnień i nagród. Podczas pełnienia Zasadniczej Służby Wojskowej w Wojskach Powietrzno – Desantowych, która dała mi też dobrą szkołę życia, zostałem wysłany na misję pokojową, gdzie pełniłem służbę pod „Błękitną Flagą” w „Doraźnych Siłach Zbrojnych” ONZ na Bliskim Wschodzie. Po wyjściu z wojska do cywila założyłem też swoją własną rodzinę.

Moje życie nie było co prawda usłane różami, nie rozpieszczęło mnie i nie głaskało po głowie. Bywało ono nieraz brutalne i bezlitosne. Z trudnościami i przeciwnościami losu dawałem sobie jednak na ogół radę. Pomagała mi w tym wyuczona w wojsko taka reguła: jeśli zadanie jest trudne do wykonania, wykonujemy je natychmiast, a jeśli jest do wykonania niemożliwe, to trzeba trochę poczekać. Ale ogólnie rzecz biorąc, układało mi się życie całkiem nieźle. Wszystkie jego uciechy czerpałem zeń pełnymi garściami. Miałem też dobrą pracę i dobre zarobki. Oprócz pracy zawodowej dużo czasu poświęcałem dla sportu. Pociągały mnie zawsze sporty ekstremalne: wodne, motorowe i lotnicze, które uprawiałem z wielką pasją. Byłem nie tylko czynnym zawodnikiem, ale też działaczem i sędzią sportowym.

Podczas sędziowania rywalizacji sportowych zawsze hołdowałem zasadzie „bezstronności”.

W sumie wszystko szło mi przeważnie dobrze, a nawet fajnie, aż do pewnego czasu, kiedy to zrzędzeniem losu uległem nieszczęśliwemu wypadkowi lotniczemu. Skutkiem tegoż wypadku były groźne obrażenia ciała, takie jak: skomplikowane złamanie stawu skokowego nogi lewej, złamanie kręgosłupa w dwóch miejscach oraz utrata słuchu. Zostałem inwalidą. Od tego momentu wszystko legło w gruzach. Straciłem zdrowie, straciłem pracę i wszystko. Groziła mi amputacja lewej nogi i wizja poruszania się na wózku inwalidzkim z powodu kręgosłupa. Świat zaczął mi się walić, życie stało się dla mnie gehenną, straciło swoje barwy i uroki. Po długiej rekonwalescencji ortopedycznej i rehabilitacji przywrócono mi częściową zdolność do samodzielnego poruszania się, ale utraconego słuchu mi już nie przywrócono. Po tym wszystkim nie mogłem już dojść do siebie, wrócić do normalnego życia.

Rozpoczęła się wędrówka w poszukiwaniu pracy, a wraz z nią walka o przetrwanie, bo przecież trzeba było z czegoś się utrzymać. Żaden pracodawca nie był zainteresowany zatrudnieniem osoby niedosłyszącej i mającej już niemłody wiek. Powoli zacząłem tracić wiarę w ludzi i samego siebie. Stopniowo zmniejszał się mój kontakt z otoczeniem. Malało też moje poczucie bezpieczeństwa. Czuję się już niedowartościowany i opuszczony. Mimo, iż posiadałem znaczny, trwały uszczerbek na zdrowiu, to orzeczono mi tylko umiarkowany stopień niepełnosprawności, który mi też wcale nie pomógł w uzyskaniu pracy nawet w zakładach pracy chronionej ani nie kwalifikował do otrzymania renty. Chociaż nie pochodziłem z marginesu społecznego ani środowiska patologicznego, to przygnębiała mnie już wizja wykluczenia społecznego. W swoich zadumach i refleksjach porównywałem się już do starego, wysłużonego parowozu, który wyparty przez nowoczesne lokomotywy spalinowe i ekologiczne elektrowozy, odstawiony został na bocznicy z perspektywą oczekiwania na wylądowanie w piecu hutniczym, a w najlepszym wypadku w muzeum. Czuję, że już stygnę i zaczynam tonąć w bezsilności. Moja sytuacja stawała się coraz trudniejsza i cięższa, ponieważ miałem zaciągnięte kredyty bankowe, a nie miałem z czego ich spłacać. Popadłem z tego powodu w niemałe

tarapaty finansowe, z którymi przyjdzie mi się z nimi przez jakiś czas jeszcze uporać.

Zmuszony byłem w takiej sytuacji zwrócić się o pomoc do MOPS-u. Otrzymałem ją w postaci zasiłku stałego w formie pieniężnej. Było tego zaledwie 240 zł. Miesięcznie. Stanowiło to kroplę w morzu potrzeb. To mi nie wystarczało na nic. Musiałem do tego dorabiać sobie, podejmując prace dorywcze. Jednocześnie bardzo tęskniłem za normalną pracą, której i tak nie mogłem znaleźć, mimo usilnych starań i poszukiwań. Tak to wszystko trwało do momentu, aż natrafiłem na „zbawienny CIS”. Po wielu spotkaniach i rozmowach oraz wątpliwościach moich i pracowników CIS zostałem w końcu zakwalifikowany i przyjęty do programu integracyjnego. Stanowiło to już przysłowiową „ostatnią deskę ratunku” dla mnie. Sprawę potraktowałem bardzo poważnie i w pełni nadziei wszedłem do programu. Od samego początku programu zaczęło mi się wszystko odmieniać na lepsze. Nauczyłem się tu już wielu rzeczy, spraw i zagadnień, których nigdy wcześniej mnie w żadnych szkołach nie uczono. Ale warunek był tylko jeden – trzeba tylko chcieć. Dla tych, co tylko udając stwarzają pozory, że chcą, miejsca tutaj nie ma. Prędzej czy później odpadają. Chcieć trzeba tylko naprawdę i bardzo mocno. Drugą sprawą jest bezwzględne podporządkowanie się nałożonym zasadom i regulaminom. To jest jedyna droga do przejścia przez program, od początku do końca.

To tutaj i tylko tutaj zacząłem odzyskiwać wiarę w ludzi i samego siebie. Tutaj przywrócono mi siłę i samozaparcie. Wiele mi trzeba było czasu, by się przekonać, że są jeszcze ludzie, którym można uwierzyć, zaufać i wiele zawdzięczać. Tacy właśnie ludzie pracują w CIS-ie, by pomagać nam – życiowym rozbitkom. Wreszcie ot tutaj w CIS-ie tchnięto we mnie nowego ducha walki w dążeniu do osiągnięcia wybranego celu. Celem tym jest praca i godne życie. Tylko dzięki CIS-owi wychodzę z życiowego dołka, w który można wpaść przez jeden tylko nieszczęśliwy wypadek. Obecnie zbliżając się ku zakończeniu programu i warsztatom aktywizującym, mam już perspektywę otrzymania umowy o pracę. Swoje uczestnictwo w programie integracyjnym CIS-u traktuję jak rejs statkiem ratowniczym, który podjął mnie, jako rozbitka na swój pokład, a jego kapitan w osobie Pana Dyrektora, który wraz ze swoją dzielną załogą, w składzie:

-I Oficer – Pan Adam Wojtyńka

-II Oficer – Pani Joanna Jarzyńska

-II Oficer – Pani Joanna Starostecka

-Oficerowie rozrywkowi, którzy zazwyczaj bywają na statkach pasażerskich, a na tym statku ratowniczym też ich nie zabrakło- to Pan Michał Pingot i Pani Monika Reszkowska. Nie pominę też mecenasa Łukasz Lewandowskiego, który pomaga cennymi i skutecznymi poradami prawnymi oraz Pani Barbary Dębickiej – pedagoga.

Wszyscy oni doprowadzili ów statek ratowniczy do szczęśliwego portu, w którym mogę ponownie odnaleźć się wśród ludzi i dostać pracę. Dziś już na pewno wiem jedno i ze śmiało podniesioną głową mogę powiedzieć:

**Nie mając żadnego królestwa to i tak już jestem Panem i Królem
samego siebie i swojego życia.**